

Tekst i zdjęcia: *Szymon Baron*

## Deszczowy Rätikon

Dziwna w tym roku była zima – niby biała, a jednak z niewielkimi opadami, niby skończyła się szybko, ale niskie temperatury utrzymywały się długo i sezon grzewczy wydłużył się niemiłosiernie... Wiosna też była jakaś dziwna, deszczowa, w zasadzie bez pogodnych dni, bo tych kilku słonecznych w ogóle jakby nie było...

Nadszedł maj i dalej było dziwnie... cały czas mokro... Od kilku miesięcy planowaliśmy jednak wyjazd do Szwajcarii, by od południa wejść na Grauspitz, najwyższy szczyt Liechtensteinu, nie wypadło więc nagle zmieniać planów... Ekipa wyjazdowa wykrystalizowała się już dawno i choć chętnych było dużo więcej, w samochodzie mogliśmy zmieścić się jedynie w czwórce.

W sobotę, 1 maja o 4-tej rano, by uniknąć ewentualnych korków, wyjechaliśmy z Bielska-Białej. Pierwszy raz jechaliśmy w góry w takim składzie na dłużej, niż jeden dzień, postanowiliśmy więc zahaczyć na początek o Beneluks (nadrabiając bagatela 1000 km), tam prześpać się w namiocie, dotrzeć się podczas wspólnych posiłków i noclegu, by nazajutrz, po dotarciu do Szwajcarii rozpocząć akcję górską.

Pierwszy dzień upłynął nam na jeździe... Czworo kierowców było przygotowanych do drogi, lecz nie było takiej potrzeby – Artur z Kubą doskonale sobie radzili i po południu dotarliśmy do Vaals – holenderskiego miasteczka, położonego przy granicy z Niemcami. Samochód zostawiliśmy przy jednej z ulic, po czym piechotą ruszyliśmy w stronę Drielandenpunt – trójstyku granic Niemiec, Belgii i Holandii. Droga biegła wzdłuż ulicy, następnie przez park i ponownie wzdłuż ulicy. W końcu dotarliśmy na miejsce... wyjątkowo skomercjalizowane. Zrobiliśmy kilka fotek, zaliczając przy okazji najwyższy szczyt Holandii – Valslerberg (rekordowe 322,5 m n.p.m.), po czym wróciliśmy do samochodu.

Już po powrocie do domów, analizując zdjęcia z internetu uzmysłowiliśmy sobie, że owszem, dotarliśmy do najwyższego punktu Holandii, ale sam trójstyk pomi-

liśmy o kilkanaście metrów.

Jeszcze tego samego dnia planowaliśmy dotrzeć do najwyższego punktu Belgii, jednakże problemy z GPS'em, remonty lokalnych dróg i ogólne zmęczenie po kilkunastu godzinach jazdy spowodowały, że zatrzymaliśmy się w belgijskim Limbourgu, ledwie kilka kilometrów od naszego celu...

Wyjechaliśmy na skraj miasteczka rozglądając się za jakimś ustronnym miejscem na nocleg – płaskim, bezpiecznym i z dala od ludzkich oczu, gdyż chyba tylko w Skandynawii rozbijanie namiotu jest w pełni legalne. Na miejscu spaliśmy zasłużoną kolację i schowaliśmy się do namiotu.

Następnego dnia wstaliśmy wcześniej rano i natychmiast po spakowaniu, bez śniadania, ruszyliśmy w drogę.

Po kilku minutach byliśmy już na parkingu przy Signal de Botrange (694 m n.p.m.), najwyższym punkcie Belgii. Miejsce to sprawiło, że poczuliśmy ogromny niedosyt, jakże to bowiem możliwe, żeby autem wjechać na najwyższy szczyt jakiegoś kraju... No, prawie na szczyt, bowiem Belgowie wybudowali tu sześciometrowe, betonowe „schody do nieba”, aby móc w obrębie swojego kraju znaleźć się na wysokości 700 m n.p.m., na której znajduje się najwyższy ze schodów... Na tym dziwnym szczytynie wykonaliśmy kilka pamiątkowych zdjęć, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przez cały czas gonili nas deszczowe chmury...

Z Belgii przejechaliśmy do Luksemburga, gdzie w parę minut po przekroczeniu granicy, znaleźliśmy się pod wieżą na szczytce Buurgplatz (558,35 m n.p.m.), gdzie pomimo intensywnego kapusniaczka, zjedliśmy zasłużone śniadanie. Znowu kilka pamiątkowych zdjęć, po czym zabraliśmy się za poszukiwanie Kneiffa (560 m n.p.m.), najwyższego (nie licząc

wspomnianej wieży) punktu w Luksemburgu. Trochę krążenia po okolicy, pytania miejscowych, po czym przypomniałem sobie (w porę...), że przecież mam angielską książkę z opisem, jak dotrzeć... No cóż, przynajmniej trochę pojeździliśmy po okolicy. Z książką dotarliśmy na

*Vaalserberg, od lewej: Artur, Kuba, Szymek i Ola*





miejsce natychmiast... Samochód zatrzymaliśmy przy charakterystycznym białym kamieniu, bynajmniej nie wskazującym na najwyższy punkt, po czym w dwójkę, wraz z Kubą, w ulewnym deszczu pobiegliśmy „zaliczyć” ostatnią „pseudogórkę” Beneluksu. Najwyżej położony punkt Luksemburga znajduje się w szczerym polu. Podeszliśmy, zrobiliśmy parę zdjęć kilka metrów od szczytu – tak, żeby nikt nas nie oskarżył, że zdeptaliśmy pole i pobiegliśmy do suchego samochodu.

Wjechaliśmy ponownie do Niemiec, zaliczyliśmy rutynową kontrolę policji („gdzie Wy się wybieracie z takimi bagażami?”), po czym omijając płatne drogi w Austrii i Szwajcarii (ach, te wąskie, kręte uliczki) dotarliśmy do Malans – miejscowości u podnóża gór Rätikon. Oczywiście lało, jak z cebra...

Samochód zaparkowaliśmy niedaleko dolnej stacji kolejki Alpibahn, po czym, rozejrzawszy się po okolicy, schroniliśmy się w tartaku. Było to suche, ciepłe miejsce, idealne do ugotowania ciepłej obiadokolacji na palniku gazowym... Zachowaliśmy wszelkie instrukcje bezpiecznego posługiwania się ogniem, dystanse od składowanego drewna itd... W ten sposób dotrwaliliśmy do wieczora. Noc spędziliśmy w tartaku (Kuba i ja) i cieplejszym, choć na pewno mniej wygodnym samochodzie (Artur i Ola).

Wstaliśmy przed świtem, około 5 rano, aby jak najszybciej ewakuować się z tartaku (nie wiadomo, o której Szwajcarzy zaczynają pracę...) i wróciliśmy na parking. Tutaj zjedliśmy ciepłe śniadanie, przygotowaliśmy herbatkę i... Patrzymy, a tu kolejka, która miała nie działać (przyjechaliśmy o 8 dni za wcześnie – sic!) działa... Już ucieszyliśmy się, lecz po rozmowie z miłym panem, który był sprawcą całego zamieszania, okazało się, że akurat robią przegląd techniczny i nie ma mowy o tym, żebyśmy wyjechali kolejką do góry... Zmartwiło nas to, tym bardziej, że Marcin Kolonko, który kilka razy dziennie przysyłał nam z Polski sms-y z aktualną prognozą pogody właśnie poinformował nas, że mamy 10-godzinne „względnie niedeszczowe” okienko pogodowe, a potem do końca tygodnia ma lać jak z cebra...

Perspektywa spędzenia kilku dni w śniegu podczas intensywnych opadów deszczu nie uśmiechała nam się w ogóle, postanowiliśmy więc zaryzykować wycieczkę na lekko – albo uda nam się w jeden dzień dotrzeć na Grauspitz, albo i nie – potem wracamy...

Spakowaliśmy małe plecaczki i ruszyliśmy w trasę, by po trzech godzinach wędrówki dotrzeć w zaśnieżone okolice górnej stacji kolejki – kolejką byłibyśmy pewnie w kwadrans (różnica wysokości pomiędzy stacjami kolejki wynosi około 1100 metrów)... Cały czas trzymaliśmy się wielkich (w porównaniu do polskich) białoczerwono-białych znaków; w zasadzie szlaków innego koloru tutaj nie ma... Następnie kilkunastominutowy „trawers” góry, połączenie naszej drogi ze szlakiem z Jenins i powolne wspinanie się w kopnym śniegu do góry... Niebo było coraz bardziej zachmurzone, widoczność niemalże zerowa i tym sposobem przed 14-tą dotarliśmy na przełęcz (2075 m n.p.m.) – mielibyśmy stąd jeszcze ok. 4 godzin wędrówki na Grauspitz, lecz po dokładnym rekonesansie (Kuba z Olą wybrali się na najbliższy szczyt, a Artur ze mną zbadał warunki śniegowe przy zejściu z przełęczy na drugą stronę) doszliśmy do wniosku, że w metrowym śniegu i przy zapowiadanych opadach, dodatkowo bez namiotu, który został w bagażniku... musimy odpuścić... Rozpoczęliśmy więc zejście, planując powrót tutaj w cieplejszych miesiącach wakacyjnych – tylko czy uda się w tym roku?

Po powrocie do doliny zwiedziliśmy jeszcze malowniczo położone miasteczko Jenins z przepięknymi domami, zdobionymi drewnem i malowidłami naściennymi, po czym wróciliśmy piechotą do Malans, skąd następnego dnia wróciliśmy przez Niemcy do Polski.

Zamiast tygodnia w górach, zaliczyliśmy ledwie czterodniowy wyjazd, a fatalne prognozy pogody sprawiły się w pełni. W związku z tym cieszyliśmy się, że szybciej wróciliśmy do domów, zamiast siedzieć jeszcze kilka dni w namiocie z nadzieją na poprawę pogody, która i tak by nie nastąpiła. Mimo wszystko wyjazd był udany i już czekamy na następny.

